



Miasto pachnie zupełnie inaczej gdy nie ma w nim ludzi. Gdy powietrze nie jest ciężkie od spalin. Gdy majowy wiatr niesie ze sobą zapach drzew, deszczu i schnących w słońcu murów zamiast duszących ołowiem wyziewów z S-trójki czy Trasy Północnej. Kiedy nie czujesz perfum, ubrań, potu. Oddechów i śliny. Bez ludzi też cisza jest inna. Przejmująca. To nie to, co znasz z wycieczek na wieś czy spacerów po Lesie Nadodrzańskim. Z tych popołudni, w których

łagodny szum koi cię niczym sesja relaksacyjna, a falujące drzewa harmonizują z rytmem twojego oddechu. Ta cisza jest jak lodowata woda, powoli ściekająca po plecach. Gdy wiatr ustaje, słyszysz szczury biegające po rynku.

Widzę je teraz, kiedy z ratuszowej wieży sonduję ulice wokół. Ich sierść jest mokra. Rozbiegają się po klatkach i po chwili wiem dlaczego. Wilki. Jest ich siedem. Wchodzą na rynek od strony cukierni i mijają sklep mięsny. Jeden z nich przystaje przy zbitej witrynie, ale nie przechodzi przez okno. To ja stłukłem szkło. Nie pamiętam kiedy. Mięsa już tam nie ma ale może wciąż czuć jego zapach. Wataha idzie dalej i ten przy oknie musi podbiec, by ją dogonić. Poznaje go po przypalonym futrze. Spotkaliśmy się wcześniej. Musiały przywędrować tu z Puszczy Rzepińskiej albo Borów Dolnośląskich. Myślałem, że do tej pory opuściły miasto.

Unoszę lornetkę i spoglądam wokół. Konkatedra, teatr, filharmonia. Pasaż handlowy jak szklarnia wciśnięta w środek miasta. Budynek sądu. Uniwersytet. Nieruchome samochody. Zaparkowane. Porzucone na środkach ulic. Nigdzie nie ma ludzi.

Spoglądam dalej. Droga na Świebodzin, drogi na granicę. Ich bezruch sprawia, że są jak przeźroczyste oglądane w laterna magica. Nie łudzę się już, że stojące na nich samochody tkwią w korku. Wiem, że nikt nimi nie kieruje. Sprawdzałem.

Miasto pachnie zupełnie inaczej gdy nie ma w nim ludzi. Ale są dni, kiedy nie potrafię się tym cieszyć.

Każdego ranka myję się, golę i ubieram świeży garnitur. Wcześniej jeszcze układałem fryzurę, ale musiałem ściąć włosy przy samej skórze. Sam nie byłem w stanie utrzymać ich w należyтым porządku. Wiem, że te zabiegi są bezcelowe. Nie ma sensu się stroić, jeśli nikt cię nie widzi. Zgadałem się z tym jeszcze do niedawna. Zanim wszystko się zaczęło.

Pracowałem w domu. Nie miało więc znaczenia, jak się ubiorę i jak uczeszę. Czy się wykapię czy nie. Teraz jest inaczej. Mam kosmetyki tak drogie, że nie mógłbym ich kupić ze swojej pensji. Markowe ubrania. Wszystko jest na wyciągnięcie ręki, jak w motywacyjnych hasłach, wbijanych nam do głów niczym tabliczka mnożenia. Nie trzeba nawet opuszczać strefy komfortu. Wystarczy wyjść z domu i brać. Domy zresztą też są do wzięcia. Jakbym przybył tu zaraz po wojnie z wileńskiego, czy nowogródzkiego. Lwowa lub Tarnopola. Skądkolwiek na kresach.

Wmawiam sobie, że te wszystkie zabiegi są po to, by być gotowym. Kiedy ludzie wrócą. Kiedy ktoś się zjawi. Bo przecież wszyscy nie mogli zniknąć. Ale nawet, gdybym miał pewność, że jest inaczej, robiłbym to wciąż. Żeby nie zwariować.

Teraz jest trudniej. Nie ma wody. Nie ma ludzi w wodociągach. Oczyszczalniach ścieków. Prądu też nie ma. Gazu i Internetu. Nie działa nic, co musi być obsłużone przez człowieka.

To nie tak, że nie próbowałem dowiedzieć się, dlaczego nagle wszyscy zniknęli. Próbowałem. Po prostu nic to nie dało i zdażyłem przywyknąć.

Zresztą nawet kiedy wszystko się zaczęło, nie zauważyłem tego od razu. Nie jestem towarzyskim typem. Sytuacja docierała do mnie stopniowo. Najpierw pod tekstami, które czytałem w sieci, przestały pojawiać się te wszystkie komentarze, pisane żółcią na zaplutyh klawiaturach. Jakby inni się wylogowali. Później z kolei nikt nie usuwał z forów moich wpisów, dodawanych, by przemycić w nich linki do stron pozycjonowanych przez firmę, w której pracowałem. Nikt też z pracy nie wysyłał mi zleceń na nowe. Nie podrzucał wytycznych na artykuły zawierające słowa kluczowe. Trochę mnie to dziwiło, ale wolałem się nie wychylać. Sprawdziłem tylko pocztę. Działała. Do czasu, gdy wysiadł Internet. Jeszcze tego samego dnia nie było prądu. Infolinia operatora nadal nadawała podnoszące ciśnienie melodyjki, a nagrane głosy instruowały, jak połączyć się z danym działem, ale po drugiej stronie nikt nie odbierał. Słuchałem później tych nagrań

wielokrotnie, by usłyszeć słowa wypowiedane przez kogoś innego niż ja. Aż w końcu w moim telefonie padła bateria.

Kiedy wreszcie wyszedłem z domu, osiedle było puste. Tylko jedna rzecz wtedy mocniej przebijała się do świadomości. Cisza. Świdrowała uszy jak lodowata woda, wtłaczana w nie pod ciśnieniem. Nie było słychać samochodów. Krzyku dzieci z placu zabaw. Normalnie w moim bloku, przy Szosie Kisielińskiej, w miejscu, w którym ta krzyżuje się z Przyleśną, auta słychać nawet przy zamkniętych oknach. Idzie przywyknąć. Tak bardzo, że czasami spędzając weekend w górach nie mogłem zasnąć bez nieustannego warkotu. Teraz jednak było tak cicho, że wydawało mi się, że ogłuchłem. Huknąłem ręką w drzwi bramy. Uderzony metal wybrzmiał echem po klatce. Więc słyszę. Dłoń zabolą. Więc nie śnię. W powietrzu wisiał jeszcze zapach spalin, ale wszystkie samochody stały z wyłączonymi silnikami. Pozostawione na drodze, jak zabawki porzucone przez zawołane na obiad dziecko. Albo jak opuszczone po zagładzie. W pierwszej chwili zresztą tak pomyślałem: jestem jedynym ocalałym z apokalipsy. Ale poza tymi samochodami wszystko wokół wyglądało normalnie. Widziałem ptaki latające na tle przychmurzonego nieba. Drzewa zieleniące się na wiosnę.

Wróciłem na górę i zacząłem walić po drzwiach sąsiadów. Spodziewałem się jeszcze, że za chwilę wyjdzie Andrzej spod szóstki i spyta, czy już „kompletnie mnie bije na dekiel”. Andrzej lubił dać w palnik, ale był w porządku. Naprawił mi kiedyś jakąś rurkę przy spłuczce, dzięki czemu nie zalałem Józwiakowej z dołu. Jego wyjściowe klapki stały przy wycieraczce. Schodził w nich do śmietnika lub Żabki. Nawet zimą. Musiał więc być w domu lub wybrać się na dalszy wypad. Józwiakowa zresztą też mogła przylecieć. Już przy mniejszych hałasach wbiegała tutaj i, tak jak ja teraz, waliła po sąsiadach, szukając winnego. Najczęściej padało na mnie, choć odkąd tu zamieszkałem nikt nigdy mnie nie odwiedził, nie licząc dostawców pizzy, kurierów, nasłanej przez Józwiakową policji i Andrzeja, ten jeden raz, gdy gmerał przy rurach w ubikacji. Ale nic takiego się nie stało.

Nawet Marek z telemarketingu nie wychylił głowy, by spytać, czy może w czymś pomóc. Grzeczny ton z pracy wszedł mu już w krew, podobnie jak to, że niemożliwością było przerwać mu, kiedy coś mówi. Nie pokazała się żona Andrzeja, wysztafirowana czterdziestka, pracująca gdzieś na Nowym Kisielinie, ani ich syn, który wychodził chyba tylko do szkoły, a resztę dnia spędzał grając na konsoli. Nie pokazał się nikt.

Wróciłem na dół i wkrótce potem ruszyłem do miasta, by poszukać kogokolwiek. Szedłem pieszo. Nie było sensu czekać na autobus, a samochodu nie miałem. Wkrótce też moje podejrzenia potwierdziły się, bo trafiłem na siódemkę kursującą w stronę Wyczółkowskiego. Stała na prawym pasie, dotykając przodem barierki, jakby ktoś puścił ją na luzie i wyskoczył. Wszystkie drzwi były jednak zamknięte. Minałem ją i poszedłem dalej. Normalnie trasa ta zajmuje około godziny, o ile ktoś ma ochotę przebyć ją na nogach. Mi zeszło dłużej. Było bowiem coś fascynującego w tym bezludnym krajobrazie. W śladach niedawnej obecności tylu osób, których już nie ma. Oglądałem je jak na wirtualnym spacerze po post-apokaliptycznej Polsce. Nie miałem nawet czasu, żeby się tym dziwić.

W stacyjkach samochodów tkwiły kluczyki. W niektórych z aut, na przednich siedzeniach po stronie pasażera, leżały damskie torebki. Plecaki. Aktówki i torby na laptopy. Patrzyłem na nie przez szyby i zastanawiałem się, czy nie trafiłem czasem do jakiegoś telewizyjnego show. Kolejnej szmirowatej produkcji, w której zamiast żebrac o jedzenie i transport w azjatyckich wioskach, trzeba przeżyć samemu w polskim mieście. Bez prądu i Internetu. I bez żadnego pomysłu na to, dlaczego dzieje się to, co właśnie się dzieje. Może ta myśl powstrzymała mnie przed tym, by wsiąść do pierwszego samochodu z brzegu i po prostu odjechać. Może dlatego nie zacząłem szabrować sklepów. Chodzić po cudzych domach. Bałem się, że ktoś może mnie obserwować. Że wciąż obowiązuje mnie prawo, jakie znałem. To poczucie nie trwało jednak długo.

Gdy dotarłem do centrum byłem głodny. Z jednego z mniejszych sklepików, w których drzwi nie były zablokowane przez brak prądu, bo

nie otwierały się automatycznie, wziąłem butelkę piwa, kielbasę i dwie bułki. Na ladzie zostawiłem kilka złotych, trochę więcej, niż wskazywały ceny. Piwo zdążyło już zrobić się ciepłe. Zapach kielbasy niósł się za mną, jakbym się nią wyperfumował. Rozsiadłem się z tym na ławce przed ratuszem, czując jakąś szczeniacką satysfakcję z tego, że nie musiałem łypać wokół na straż miejską czy policję.

Budynek miał krzywą wieżę, na skutek błędu konstruktorskiego, popełnionego podczas prac na początku XIX wieku. Przez to oglądany z ulicy Krawieckiej przypominał szturchnięty domek z kart, który jednak postanowił nie rozpaść się. Jej cień kładł się teraz na kamienicy, w stronę której byłem zwrócony. Oglądałem przyciemnione nim okna, w nadziei, że z drugiej strony ktoś równie trwożliwie spogląda na mnie. Jednak nikt się nie pokazał. Dopiero gdy zjadłem, zacząłem w sklepach i salonikach prasowych przeglądać gazety.

Ostatnie dzienniki były sprzed trzech dni. Znaczyło to, że cokolwiek się stało, musiało stać się właśnie wtedy. Że to w ten dzień wszyscy zniknęli. Nic jednak nie wskazywało na to, że komukolwiek taki scenariusz przyszedł do głowy.

Wśród wzmianek o tym, kto co pokazał i w co wstrzyknął sobie botoks, kto zapomniał dziecka z restauracji, a komu retuszowano nogi na fotografiach, pojawiały się oczywiście, w niektórych tytułach, zapowiedzi wojny, islamskiej zagłady, powrotu komuny, powrotu Hitlera i wreszcie końca świata. Ale nie wyglądało na to, by miało to jakikolwiek związek z odpowiedzią, której szukałem.

W niektóre z tych teorii wierzył mój sąsiad, Andrzej i zawsze, gdy przedstawiano mu kontrargumenty pytał: „a masz dowód?”. Zabieg ten oczywiście nie działał w drugą stronę. Jednak ani Andrzej, ani prasa nie mówiły nic o zbliżającym się zniknięciu wszystkich ludzi. Wszystkich, poza mną.

W salonach prasowych i sklepach spędziłem kilka godzin, nie dowiadując się niczego. Nie znalazłem nikogo w ratuszu, w restauracjach i winiarni, w kawiarniach. W bankach, aptekach i

zakładach fryzjerskich. W pasażach handlowych i kościołach. Miasto było puste.

Uświadamiałem sobie ten fakt stopniowo. Jak śmierć kogoś bliskiego, z kim się nie mieszkało. Odejście rodzica, z którym częściej rozmawiało się przez telefon niż twarzą w twarz. Było w tym coś ze snu. Ze wspomnień z zakrapianej nocy, które powoli układają się w całość. Gdy w końcu zaszło słońce, postanowiłem położyć się od razu, zasnąć, w nadziei, że poranek będzie już zupełnie normalny. Nie wracałem do siebie. Znalazłem pierwsze otwarte mieszkanie i skuliłem się na łóżku, nie zdejmując nawet ubrania. Z miasta wziąłem ze sobą kilka piw, które wypilem po sobie, czekając na sen.

W nocy obudziło mnie wycie wilków.

Rano obudziła mnie cisza.

Dziś mam na sobie garnitur od Zegny. Znalazłem go w loftach przy ulicy Fabrycznej, zaaranżowanych w dziewiętnastowiecznej tkalni. Teraz tam mieszkam. Garnitur pasuje, choć leży gorzej niż te przywiezione przeze mnie z Berlina. Musiał być szyty na miarę, przez co jest nieco za szeroki w barkach. Jednak to jego lubię najbardziej. W lewej kieszeni, po wewnętrznej stronie klapy, mam portfel, w którym noszę zdjęcia kobiety i dwójki dzieci. Nie znam ich, ale mieszkam w ich domu. Śpię w łóżku tej kobiety, a garnitur należał do jej męża. Noszę go tak, jakbym nosił jego maskę. Stawał się tym facetem. I choć jego rodziny też już nie ma, czuję ich obecność. Jest w ich rzeczach, nieuporządkowanych, zostawionych w pokojach. W ubraniach w szafie. W papierach. W kosmetykach i w zabawkach rozrzuconych po podłodze. Jakby wyskoczyli na chwilę do miasta i mieli zaraz wrócić. Do mnie.

Kiedy jestem w tym mieszkaniu udaję, że czekam na nich. Że coś ich zatrzymało i będą później. Mieszkanie jest na ostatnim piętrze, z oknami od strony ulicy. Patrzą na każdy z jej końców, czekając, aż

pojawi się kobieta z dwójką dzieci. Lub nadjedzie biały Ford Kuga. Ze zdjęć w albumach ustawionych na biblioteczce w salonie wiem, że Klara jeździ właśnie tym samochodem. Jej imię znam z dokumentów znalezionych w sypialni. Były w teczce, w komodzie stojącej przy oknie.

Klara jest po trzydziestce, ale ciało ma jędrne. Jogging, yoga. W kącikach jej oczu i przy ustach rysują się już linie zmarszczek, nadające twarzy naturalność. Rozczulają mnie te zmarszczki, jakbym latami obserwował ich powstawanie. Nie są na tyle głębokie, by nie można było przysłonić ich makijażem, widać to na zdjęciach z imprez, jednak na co dzień Klara ich nie ukrywa. Lubi belferski styl, ubrania w kolorach jesieni. Ma ich całe mnóstwo. Pasują do brązowych loków, sięgających jej do ramion i najczęściej rozpuszczonych.

To ich wypatruję najpierw. Najłatwiej je zauważyć. Zresztą jak czupryny Franka i Matyldy. Dzieci, o których teraz mówię: „nasze”.

Są jednak dni, gdy jest inaczej. Wtedy wyciągam z szafy silikonową lalkę naturalnych rozmiarów i wkładam na nią ubrania Klary. Lalkę, tak jak garnitury, przywiozłem z Niemiec. Wybrałem tę, która była najbardziej podobna do kobiety ze zdjęcia znalezionego w portfelu. Wyciąłem w jej twarzy zmarszczki, by uczynić ją bardziej ludzką. Wcześniej używałem lalek ze sklepu na Wrocławskiej, tego z gadżetami erotycznymi, ale tamte nie były wystarczająco realistyczne.

W takie dni udaję, że Franek i Matylda są u babci. Że mamy ten wieczór dla siebie. Więc najpierw kolacja przy świecach. Trudno jest już przyrządzić coś, co nadawałoby się na taką okazję. Nie działają lodówki. Jedzenie się psuje. Ale improwizuję z puszek, ryżu lub makaronu. Jest też wino. Nigdy się na nim nie znałem, ale teraz wystarczy, że wybieram najdroższe. W Zielonej Górze nie brakuje miejsc, w których można je znaleźć. W takich chwilach brakuje mi muzyki. Jakichś dźwięków zagłuszających ciszę i mogących stworzyć odpowiedni nastrój. Wtedy mówię na głos. O tym, jak mi minął dzień i gdzie możemy pojechać na wakacje. Tak naprawdę pozostaje nam jedynie stały ład, bo nie kursują samoloty i promy. Ale nie wspominam o tym. Planujemy tak, jakby każdy kierunek był możliwy.

Tego, że nie jest dowiedziałem się, gdy pierwszy raz postanowiłem opuścić miasto. Wyjechałem trzydziestką dwójką, by zjechać na dwudziestkę dziewiątkę i z niej dostać się na dwunastkę. Zmierzałem w kierunku Berlina, zatrzymując się mijanych po drodze miastach. Miałem jeszcze nadzieję, że może w każdym z nich został przynajmniej jeden człowiek. Jechałem na północ, bez konkretnego celu. Spałem w cudzych domach. Motelach przy trasie. Zmieniałem auta na lepsze, kiedy takie znalazłem.

Trasa zakończyła się w Puttgarden. Na nabrzeżu stały samochody, jak resoraki ułożone w dziecinnym pokoju. Z niektórych mewy wygrzebywały jedzenie. Ich pisk był głośniejszy od szumu fal. Morze pachniało mułem i wodorostami, a bijący od niego wiatr wywoływał gęsią skórę.

W powietrzu dało się też wyczuć odór zepsucia. Musiał wydobywać się z tirów wiozących żywność. Kiedy dotarłem do nabrzeża, dostrzegłem prom. Przyciskał się burtą do kamienistego brzegu za sklepem bezcłowym. Blacha w tym miejscu była powyginana, ale nie dostrzegłem dziur. Rozglądałem się tam przez kilka godzin, potem wróciłem do samochodu.

Pewnie, że gdybym chciał dostać się do Danii, wystarczyło zawrócić i odbić na Flensburg. Nie widziałem jednak wtedy w tym sensu. Jeśli nie spotkałem nikogo po drodze, dlaczego tam miałoby być inaczej? Wróciłem do Zielonej Góry, ale planowałem już nowy wyjazd. Być może na stałe. Do każdego z miejsc, których jeszcze nie widziałem, a do których mógłbym teraz się udać. Jednak wtedy spotkałem Klarę.

A raczej trafiłem do jej mieszkania. Nie była pierwsza, przyznaję. W pewnym momencie zmienianie mieszkań, domów, stało się moją obsesją. Pozwalało odkrywać biografie, rozsiane po przedmiotach, wystrojach wnętrz i ulotnych nastrojach, jakie tworzyły każdemu z odwiedzanych przeze mnie miejsc. Coś pomiędzy podglądaniem a czytaniem książek. Zanurzałem się w te wszystkie zawiedzione nadzieje, utopione w butelkach z Podgórznej. Aspiracje i ambicje zakłute w drogich sprzętach na Osiedlu Bajkowym. Sny o lepszym, przyszłym

życiu, poukładane między książkami i porcjami narkotyków w akademikach. To wszystko pozwalało mi stale czuć czyjaś obecność. Być częścią cudzego życia. Mieszkalem więc w każdym z tych miejsc po kolei. Stawałem się każdym z ludzi, którzy byli tam przede mną. Byłem jak duch i przyszło mi wtedy do głowy, że umarłem. Że miasto nie jest opustoszałe, tylko ja znalazłem się po jego drugiej stronie. Jeśli to prawda, sprawdźcie, czy o mnie nie słyszeliście. Czy zauważyliście moją obecność. Byłem w niemal każdym domu. Dotykałem waszych rzeczy. Brałem je i używałem jak własnych. Stawałem się ich właścicielami.

Byłem kobietą z Osiedla Piastowskiego, której pies wypróżnia się zawsze w pobliskim parku, poza wydzielonym do tego miejscem. Mój syn jest za granicą, córka wyjechała do Warszawy, a mąż zmarł na serce. Więc nie mówcie, że trochę gówna na bucie to duży problem. Byłem facetem z Residence Park, który zostawia swojego Mercedesa G 65 AMG, gdzie tylko zechce i uśmiecha się jedynie na spotkaniach z kontrahentami. Ale przejedźcie się raz tym autem, bujającym się na zakrętach jak łajba na morzu, spróbujcie raz zaparkować nim na standardowym miejscu parkingowym, a później załatwcie umowę z kimś, kto nie zna się na tym, czym się zajmuje, a zrozumiecie, dlaczego czasami wdaje się nieprzychylny. Byłem też tymi, których życie wydawało się szczęśliwsze, aż zostałem mężem Klary.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Nie ma co ukrywać. Kiedy pierwszy raz trafiłem do jej mieszkania tylko rozejrzałem się, napiłem się wina i zabrałem garnitury. Widziałem wtedy jej zdjęcia. Nie zaiskrzyło. W ten dzień poznałem też kilka jej tajemnic. Lubiała czarną bieliznę i stawiała na stringi. W połączeniu z belferskim stylem ubrań, które nosiła, tworzyło to jakąś pornograficzną aurę. Pod łóżkiem miała zresztą kilka gadżetów erotycznych. Z powodzeniem mogła ich używać w towarzystwie męża, jak i w samotności. Były tam też prezerwatywy i butelka żelu do USG. Ale największy jej sekret – wskazywało na to miejsce ukrycia: pudełko po butach, w najwyższej szafce w sypialni, pewnie z ubraniami, których już nie nosiła – stanowił album ze

zdjęciami. Fotografie były jeszcze z czasów studenckich, z Warszawy. Na większości z nich, w towarzystwie Klary, pojawiał się ten sam mężczyzna. I to pewnie przez niego nie trzymała tych zdjęć z całą resztą, na biblioteczce w salonie.

Kiedy przypomniałem sobie o tym później, poczułem zazdrość. Chciałem nawet zniszczyć te fotografie, ale nie mogłbym jej tego zrobić. Próbowałem też udawać, że to ja jestem tym mężczyzną, że wróciliśmy do siebie, ale było w tym coś sztucznego. Przestałem więc o tym myśleć. Pewnie podobnie zrobił jej mąż, o ile w ogóle o tym wiedział.

Gdyby nie portfel ze zdjęciami, pewnie zapomniałbym o niej już więcej po opuszczeniu tamtego loftu. Ale odkąd znalazłem go w jednym z garniturów, oglądałem tę fotografię coraz częściej i tak jak zaczynamy zwracać uwagę na kogoś, kogo mijamy codziennie w drodze do pracy, kogo w końcu chcemy poznać, tak ja coraz częściej bywałem w okolicy Fabrycznej, coraz częściej w jej mieszkaniu, aż przeniosłem tam wszystkie rzeczy, które wtedy uważałem za swoje i zostałem. I kiedy tamtej nocy leżałem w jej łóżku, czułem zapach jej skóry pozostawiony na pościeli, byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek dotąd.

Gdy zasypiałem, za oknami wyły wilki. Tej nocy nie obudziłem się jednak ani razu.

By móc czytać w winiarni na rynku, musiałem zapalić świece. Teraz ich blask pełza po ceglanych sklepieniach. W takim oświetleniu gotycka piwnica, urządzona raczej nowocześnie, zdaje się być zawieszona między dwoma czasami, jak przezrocza nałożone na siebie, których pewne elementy pokrywają się, a inne przysłaniają się wzajemnie.

Siedzę przy stoliku obok fortepianu. Z zaplecza wybrałem wino. Piłem je już wcześniej. Jest dobre, ale nie wiem, co to za gatunek. Mam ze sobą *Rzecz o zasadach poznania ludzkiego*, Berkeleya. Odkąd ciągle szukanie baterii do laptopów, by móc oglądać, lub słuchać

czegokolwiek, co zawiera ślady ludzkiej obecności stało się zbyt uciążliwe, coraz częściej sięgam po książki. Z gazet zrezygnowałem. Przez swoje odnoszenie się do spraw teraz zupełnie nieistotnych, w obecnych okolicznościach wręcz niewiarygodnych, służą mi raczej za opał, gdy chcę zrobić kawę.

Czytanie nie jest tylko rozrywką. Chęcią obcowania z innym człowiekiem. Jest też poszukiwaniem przyczyny tego, co się stało. Jak na razie bezskutecznym.

Czytam na głos. Chcę słyszeć wypowiedane słowa. Wcześniej, czasami, przepisywałem fragmenty książek na laptopach, do których miałem jeszcze naładowane baterie, by odtwarzać je syntezatorem mowy. Ale zbyt kojarzyło mi się to z fabrykowaniem stygmatów, mającym umocnić wiarę, z wysyłaniem samemu sobie pocztówek na święta, by poczuć się mniej samotnym, by mogło to odnieść zamierzony efekt. Brzmienie mojego głosu zresztą też niewiele pomaga.

Do tej pory przebrnąłem przez prace dotyczące fizyki kwantowej, których nie zrozumiałem. Przez pisma mistyków, teorie spiskowe i przepowiednie, które okazały się nieprzydatne. Przez filozofów, których gęstość myśli wciąga tak bardzo, że przestaje się widzieć sens snutych hipotez. Filozofowie zresztą bawią mnie najbardziej. I jak dotąd to u nich znalazłem najciekawsze pomysły.

Na przykład taki solipsyzm. Pogląd, że nie istnieje nic, poza naszymi wyobrażeniami. Że nie istnieje nikt, poza osobą postrzegającą. Że nie ma zewnętrznego świata, a wszystko co widzimy jest ledwie ułudą, wyobrażeniem. Wrażeniami tego, kto patrzy. Częściami jego umysłu. Wszystko, łącznie z ludźmi. Lub ich brakiem.

Jak widać w *Matrixie* nie ma niczego odkrywczego. Trochę filozofii, trochę lemowskiej historii o skrzyniach Corcorana, trochę *Anioła Przemocy* Snerga.

- Czy więc to, co przytrafia mi się teraz jest wynikiem uszkodzenia jakiejś części mojego mózgu, która odpowiada za konstrukcję świata? Lub zakłóceń w transmisji, jeśli jest to tylko jakaś wizualizacja? – pytam, analizując swoje przemyślenia.

- Kiedy śnimy, nie wiemy, że śnimy – włącza się moim głosem Kartezjusz, nie mam pojęcia skąd, bo przecież teraz o nim nie myślę – i nie istnieje nic, co mogłoby jednoznacznie oddzielić jawę od snu.

Po chwili milknie i nie podejmuje więcej tematu, co wykorzystuje Berkeley, pytając:

- Ale czy w ogóle jest jakaś jawa?

Fakt, że akurat on włączył się do rozmowy jest dla mnie zrozumiały. Wystarczy spojrzeć na książkę, którą czytam. Jego głos brzmi tak samo, jak Kartezjusza. Tak samo, jak mój.

- Pochopnym jest uznać, że to, co postrzegamy jest rzeczywiste – kontynuuje. – Żadne doświadczenie nie jest nam w stanie tego potwierdzić. Czy możemy więc być czegokolwiek pewni?

- Tego, że być, to być postrzeganym – rzucam i nie wiem już, czy tylko powtarzam to, co przeczytałem u Berkeleya, czy to on sam mi właśnie to mówi.

- Otóż to – słyszę potwierdzenie. Więc jednak to były moje słowa, choć wzięłem je od niego.

- Ale co, jeśli nie ma kogokolwiek, kto mógłby mnie widzieć? – pytam zaczepnie.

- Bóg cię widzi – stwierdza Berkeley niezrażony, wręcz tryumfalnie i dodaje:

- Wszystko, co nas otacza, jest widziane przez Boga i to to stanowi o trwałości świata.

- Bóg umarł! – krzyczy nagle Nietzsche, rozbijając butelkę o cegły ściany. Trochę wina zostało na dnie i płyn ścieka teraz wraz drobinami szkła.

- Czy więc to dlatego mój świat tak opustoszał?

Tego wyzwania nikt już nie podejmuje. Przez chwilę wydaje się, że rozmowa została skończona, ale ze spóźnionym zapłonem włącza się w nią Andrzej, sąsiad z mojego piętra:

- Mówisz, że Bóg umarł – zaczyna ostro, najostrzej, jak potrafię. – A masz dowód?

Ostateczny argument. Niepodważalny nie tylko w filozoficznych sporach. Powoduje, że wszyscy milkną.

Wstaję. Zostawiam książkę na stole. Nie gaszę świec. Chwiejnym krokiem ruszam na górę. Piwnicą trzęsie niby łajbą. Idę jak marynarz podczas pierwszych oznak sztormu. W domu będę później, ale jestem pewien, że Klara zrozumie. Gdy wsiadam do samochodu wypadają mi kluczyki. Muszę szukać ich, schylając się pod kierownicę. Kiedy podnoszę głowę, z kluczykami w ręku, są już przy mnie. Wilki.

- Więc nawet jeśli Bóg umarł – mówię głośno – wciąż jest komu na mnie patrzeć.

Z moich ust wyrywa się beknięcie. Nie wiem, czy w tym, co mówię jest sens. Nie ma już Kartezjusza i Berkeleya, by mogli to zweryfikować. Nie ma Andrzeja. Nie ma Nietzschego. Kiedy uruchamiam silnik, wilki uciekają.